Noc Sylwestrowa

Godzina 20.30. Warszawa w okowach siarczystego mrozu. W mieście sypie gęsty

śnieg, niesiony porywistym wiatrem. Mocny akcent na pożegnanie Starego Roku. Do północy

pozostały trzy godziny, ale do odjazdu pociągu ze Śródmieścia – zaledwie jedna. Uczestniczę

w ostatnich przygotowaniach do Sylwestra, w którym sam nie będę brać udziału. Mam

siedemnaście lat i dość swoich „starych”, wraz z ich towarzystwem. Znowu zabawa

w naszym domu. Nikt rodziców nie musiał szczególnie namawiać – sami zaproponowali

noworoczną imprezę u siebie. Stary Mokotów, duże mieszkanie, niedaleko Łazienki

Królewskie i Belweder – chętnych nie brakowało. Który to już raz?

A niania, jak zwykle, biega po kuchni w mieszaninie zapachów: barszczu, schabu i

ryby. Sernik i fura innych specjałów czekają już od wczoraj. Kiedy zjawi się dwadzieścia

osób żądnych wrażeń, zabawy i atrakcji – trzeba mieć oko na wszystko. Niedopałki,

kieliszki, talerze, sztućce lądują w nieoczekiwanych miejscach, słychać dźwięk pękającego

szkła.

I toasty – ale… tych nie chcę już wysłuchiwać, czas nagli.

Jadę przecież pod Błonie, na „sylwka” do Przyjaciela. Robi się późno, czas pędzić

na dworzec. Biegnę po schodach do góry, mijam kino Moskwa i jestem na Puławskiej, na

przystanku. Czas ucieka szybko. Nie przyjeżdża żaden tramwaj, nie ma autobusów. Patrzę na

zegarek – pociąg mam za piętnaście minut. Już wiem, że nie zdążę. Kiedy docieram na

dworzec, elektryczny do Sochaczewa dawno już odszedł. Nie wiem,

czy czekać na następny, bo będzie dopiero za pół godziny. Do dziesiątej pozostał kwadrans.

Rzecz w tym, że jadę tam pierwszy raz, nie znam adresu, telefonu. Skąd miałbym

zadzwonić, gdy w automacie jakiś wandal urwał słuchawkę, a w drugim panuje głucha cisza.

Umówiliśmy się, że ktoś będzie na mnie czekać na stacji. Jak zobaczą, że nie wysiadam

z pociągu, który przyjeżdża przed dziesiątą – pomyślą, że już nie przyjadę. Na samą myśl

o powrocie na Mokotów przechodzą mnie ciarki. A pod Błoniem czeka na mnie, przystojnego

chłopaka z Warszawy, stęskniona dziewczyna. Hanię wcześniej widziałem jeden raz,

sympatyczna czarnulka, krewna mojego Przyjaciela. Wtedy zaiskrzyło, więc co – mam ją

zawieść?

Przez głowę przebiegają setki myśli, stoję na peronie, a czas płynie. Pociąg wjeżdża

z opóźnieniem, wsiadam. Jest prawie całkiem pusty. Kto miałby w nim być, skoro od dawna

trwają huczne zabawy?

Gdy docieram na stację Płochocin dochodzi jedenasta. Noc jest wyjątkowo ciemna.

Jako jedyny pasażer wysiadam na nie zadaszony, otwarty peron, na którym nie ma żywej

duszy. Mocny wiatr usiłuje zerwać z mojej głowy czapkę z daszkiem, silny mróz wdziera się

pod kurtkę. Czuję, że zamarzają moje odsłonięte uszy. Nacieranie nie pomaga. Nie wpadam

w panikę, mimo że nawet nie mam kogo zapytać o drogę. Gdyby nawet ktoś taki był,

to co mam właściwie powiedzieć? Nie wiem niczego, bez skutku usiłuję przypomnieć sobie

nazwisko Hani, bo to u niej jest zabawa.

Po kilku minutach rozumiem, że nie ma sensu dłużej stać na peronie, nikt się nie

zjawi. Czas ruszać, ale dokąd? Najbliższe zabudowania widzę na skraju wielkiej, śnieżnej

przestrzeni, nie prowadzi do nich żadna droga. Pewnie gdzieś jest, przysypana zwałami

świeżego śniegu. Patrzę na swojego MIR-a – tylko księżyc oświetla cyferblat, wokół nie ma

żadnych lamp. Jest już po jedenastej. Dookoła rozciąga się ledwie widoczne w

świetle

księżyca bezkresne, śnieżne pole, na którym szalejący wiatr utworzył wielkie zaspy.

Na horyzoncie stoją oddalone od siebie pojedyncze chaty, przy niektórych rosną drzewa.

Nowy Rok tuż, tuż. Cały trzęsę się z zimna, nie mogę opanować drżenia. Głośno

szczękają mi zęby. Czarne, wyjściowe buty o cienkiej, skórzanej podeszwie ślizgają się po

peronie skutym grubą warstwą lodu. Wiatr próbuje mnie z niego zepchnąć, co chwilę tracę

równowagę. Idę na wprost ku chatom. Brnę po śniegu powoli, zapadając się po kolana,

niemal po pas. W połowie drogi słyszę, że psy, których zajadłe szczekanie docierało do mnie

już wcześniej, są teraz blisko. Czuję się bezbronny – jak nigdy dotąd. W rękach trzymam

butelkę radzieckiego szampana i nie mam niczego, czym mógłbym się bronić.

Jestem sam na pustkowiu. Czworonogi zachowują do mnie niewielki dystans, mam

nadzieję, że nie odważą się zaatakować. Jest ich chyba z pięć. Zastanawiam się, kto wypuścił

tę watahę w taki mróz? Niestety, zdaję sobie sprawę, że są po prostu bezpańskie. Żyją z tego,

co upolują, zwędzą albo dostaną z czyjejś ręki. To nie Wigilia, nie pogadam z nimi ludzkim

głosem.

Przedzieram się przez śnieg, prosząc niebiosa o ratunek, wiem, że zaraz może

zdarzyć się coś najgorszego. Gdy w śnieżnej zawierusze docieram do pierwszej chaty, psy

gdzieś znikają. W oknach ciemność, żadnego śladu życia, cisza, tylko wiatr szaleje po

podwórzu. Na stukanie w drzwi i szyby – brak odpowiedzi. Kieruję się więc do następnego

domostwa, położonego w odległości jakichś stu kilkudziesięciu metrów. Znów bez

powodzenia. Nie ma nikogo, a może gospodarze boją się otworzyć drzwi obcej osobie?

Gdy dochodzę do trzeciej chaty, nie mam już żadnej nadziei. Okna ciemne, nie ma

żadnych oznak obecności jej mieszkańców. Stukam i stukam, odpowiada mi cisza.

Desperacko naciskam klamkę i drzwi, ku mojemu zaskoczeniu, uchylają się. Wchodzę

do sieni – nic nie wskazuje, żeby ktoś był w domu. Powoli otwieram drzwi do pokoju

i… nie wierzę własnym oczom. Na jego końcu, gdzieś daleko pod przeciwległą ścianą, stoi

duże łóżko, na którym na wielkich poduchach śpią dwie starsze osoby. Mężczyzna głośno

chrapie, zaś kobietę ledwo widać spod naciągniętej na głowę kołdry. Panuje chłód – piec

dawno wygasł.

- Przepraszam! – mówię głośno, choć zlodowaciała twarz wykoślawia moje słowa.

Brak reakcji, więc mówię jeszcze głośniej:

- Bardzo Państwa Przepraszam!

Budzą się oboje, są nieco przestraszeni, ale chyba bardziej zdziwieni. Dziadek pyta:

- Co Pan tu robi? – czego Pan szuka?

- Pomocy szukam! – odpowiadam głośno, zgubiłem się.

- Cooo??

- Przyjechałem z Warszawy, nie znam drogi, nie wiem, gdzie jest dom dziewczyny, Hani,

u której jest zabawa. Od godziny błądzę po okolicy!

- A ona jak się nazywa? – pyta rozbudzony dziadek, dalej leżąc z babką pod kołdrą,

zza której widać tylko głowy.

- Nie pamiętam – mówię, to koleżanka mojego Przyjaciela… i w rozpaczy podaję jego

nazwisko, widząc w tym ostatnią deskę ratunku.

- To chyba u Majewskich – słyszę w odpowiedzi. Trzeci dom za naszym. Pan idzie, tam

się bawią.

Nie mogę uwierzyć swojemu szczęściu.

- Dziękuję!! – krzyczę. Dobranoc!

Gdy wychodząc zamykam drzwi, kątem oka widzę, że dziadek z babką z

powrotem

naciągają kołdrę na głowę, układając się na boku do snu – w przeciwne strony.

Szybko mijam dwa najbliższe domy i zbliżam się do trzeciego. Okna rozświetlone, słychać

głośną muzykę. Próbuję zajrzeć do środka, ale niczego nie widzę, bo para i mróz skutecznie

zasłoniły szyby. Stukam parę razy w drzwi, wreszcie ktoś je otwiera.

Powoli wchodzę do środka. Światło i ciepło dosłownie porażają mi wzrok. Prawie niczego

nie widzę, ale zauważam, że na mój widok wszyscy umilkli, zapanowała zupełna

konsternacja. Domyślam się, że wyglądam jak ktoś z zaświatów. Lekko nieprzytomny idę

dalej na środek pokoju. Dobiega do mnie siostra Przyjaciela, Zuzia, wołając:

- Robert, na miłość boską – jak tu dotarłeś ?! Czekaliśmy na peronie, nie było Cię. Teraz

widzę Hanię, która uśmiecha się i podchodzi do mnie. Obejmuję ją mocno i całuję, po czym

wręczam butelkę, której jakimś cudem nie rozbiłem po drodze. Jest wyraźnie wzruszona,

z wrażenia ma zaczerwienione policzki. Wszyscy krzyczą, jeden przez drugiego:

- On zamarzł, nalejcie mu, prędko!!!

W pokoju słychać duży, stary zegar podłogowy osadzony w dębowej skrzyni. Jego

wahadło wychyla się cyklicznie – gruba wskazówka stoi na tarczy pionowo, a druga zmierza

ku niej żwawo**.** Jest za pięć dwunasta i zaraz wybije północ.

Rozglądam się wokół, szukając Przyjaciela.

- Krzyśka nie ma!, mówi Zuzia.

- Poszedł na Sylwestra gdzieś indziej!

Copyright©wojciech.wilczynski